Panna Mars.

(*Dokończenie.*)

Hipolita Mars urodziła się 1778 roku. Matka jéj grywała na prowincyi piérwsze role tragiczne; nie występowała nigdy w Paryżu, nie mogąc się na to odważyć dla twardości swego akcentu i prowincyonalnéj wymowy. Monvel w podróży spotkał panią Mars; była ładna, on zakochany. Monvel został ojcem. Dziécię wzrastało, śliczne, zgrabne, rozumne. Monvel odkrył niebawem w swéj córce talent teatralny, i z ukontentowaniem przyjął na siebie obowiązki nauczyciela. Praktyka sztuki teatralnéj tak jest aktorowi potrzebną, że nie może się dość wcześnie jéj poświęcić. Monvel dał swéj córce występować na scenie, skoro tylko była w stanie zrozumiale mówić. Widziano ją wówczas, w teatrze panny *Montansier*, grywającą role dziecinne z rzadką na taki wiek zręcznością. Jéj dykcya nie była pospolitém mówieniem;była to już sztuka,była to komedya. W owym czasie zamiłowania do teatru, aktor, który cokolwiek obiecywał, bywał zachęcany i kierowany przez uważną i rozsądną krytykę. Wstęp młodéj artystki zwracał powszechną uwagę.

Z ról dziécięcych, panna Mars przeszła do tak zwanych *niewiniątek*. Teraz krytyka zaczęła serio nią się zajmować; zwracano uwagę na ową gracyą, ową przyzwoitą figlarność, ową niewymuszoną wesołość, ową skromną żywość, którąśmy zawsze w niéj uwielbiali. Nigdy nic doskonalszego nie zjawiło się na scenie, nad pannę Mars w rolach naiwnych; ale też nigdy żadne wrażenie nie było tak zupełne, tak powszechne i tak trwałe. Przez dwadzieścia lat nie podnosił się żaden głos przeciw podziwieniu,

które pociągało tłumy do stóp młodéj i powabnéj artystki; zawiść nie wywiérała na nią swego jadu; otoczoną była powszechnym szacunkiem, jaki jéj piękny talent wzniecał.

Talma szukał jeszcze, kiedy Mars już była znalazła. Przejść musiał przesadną deklamacyą, ciężką i jednostajną dykcyą, aby dojść do szlachetnéj naturalności, do któréj się wzniósł przy kresie swego dramatycznego zawodu. Panna Mars, wyposażona przez jakąś wieszczkę dramatyczną najszczęśliwszemi darami, od razu doszła do owéj prawdy, któréj odcienia z rzadką przejęła bystrością. Zdawała sobie rachunek ze wszystkiego, gdyż postępowała jak prawdziwa artystka; korzystała ze wszystkiego, gdyż umiała z rozsądną krytyką wybiérać; nie podobną była do nikogo, gdyż radziła się sumiennie swéj własnéj natury, i wiedziała, że wszelkie naśladownictwo jest bezowocném.

Na świecie, artysta zgłębiać powinien naturę; książki, galerye nie są dostatecznemi ani dla artysty, ani dla literata, ani dla malarza. Panna Mars szukała dobrego towarzystwa, i została do niego przyjętą, jak mogła się tego spodziéwać. Powaby jéj ciała i umysłu, wzmagające się z każdym dniem poklaski, pozwalały jéj jaśnieć w towarzystwach panny Contat, która przyjmowała u siebie najznakomitszych mężów i najsłynniejszych artystów. Wszystkie osoby, które w jakikolwiek sposób się odznaczyły, można było znaleźć w salonie sławnéj Contat. Ta artystka wiele czuła przyjaźni dla panny Mars, która, opuszczając teatr *Faydeau*, bez debitów przyjętą została do grona *Théâtre-français*.

Było to podobno roku 1812, gdy panna Mars, która aż dotąd była równie powabną amantką, jak naiwną subretką, zajęła piérwsze role w komedyi.

Panna Contat wyszła z teatru i zostawiła po sobie spadek trudny do objęcia. Panna Mars się stawiła, i uznano ją prawą dziedziczką; stała się *Sylwią*, tak jak była *Rozyną* i *Henryką*. Nigdy nie widziałem Panny Contat; ale powiadano mi, że panna Mars nie ma téj całéj objętości talentu, jaką rozwinęła owa artystka w rolach *des grandes coquettes:* lecz panna Contat miała inną organizacyą niż panna Mars; była posłuszną swéj naturze, i nie wiém, dla czego łajać chcą pannę Mars za to, że ulegała swojéj, mniéj energicznéj, a raczéj łagodnéj, miléj i pełnéj wdzięku.

Jeżelibym w talencie panny Mars chciał co ganić (a zbrodnią niemal byłoby myślić o tém), tedy nie komedya dałaby mi powód tego, lecz drama. Panna Mars czuła, że gwałtowny wyraz niektórych namiętności, sprzeciwia się jéj artystowskiéj organizacyi; posiadała ona delikatność i godność, gdzie potrzeba było siły i namiętości; miała łagodny, czysty, melodyjny głos, gdzieby koniecznie potrzeba mocnego i silnego organu; śmiała się tak dobrze, iż trudnoby jéj było dobrze płakać; nadto nigdy nie grywała w tragedyi (1). Podczas gdy panna *Volnais* zmuszona była przesadami klassycznéj deklamacyi wiecznie rozpaczać; podczas gdy panna *Bourgoin* zrobiła z *Xymeny* z grabną pokojówkę; podczas gdy regulamin teatru zmuszał pannę *Różę Dupuis*, niemającą najmniejszego powołania do tego, tonąć w żalu tragicznym, — panna Mars pozostała w swéj sferze. Cóżby była uczyniła z *Eryfili*, z *Junii* lub z kochanki Cyda? Niewiem; ale się cieszę, że miała szczęście

(1) Panna Mars raz tylko grała w tragedyi, a to Benjamina w „Omazysie" pana Baour de Lormian.

ujść przed niedorzecznėm prawėm, któreby ją uczyniło mierną aktorką w tragedyi, podczas gdy stała się tak znakomitą w komedyi. Ale dla czegoż od kilku lat gwałcąc swój talent, poświęcała go dramie? Panna Mars miała wymówkę, i pospieszam jéj to przyznać.

Napisać komedyą, stało się było prawie niepodobieństwém; nie było już kast, towarzyskich odznaczeń, zatém téż nie było sprzeczności w obrazie teatralnym. Molier i kilku jego następców wszystko już byli powiedzieli o charakterach i o ułomnościach ludzkiego serca. Picard opisał był wielkie odcienia śmieszności średnich klass, szlachetna komedya cesarstwa była tylko niekiedy szczęśliwém naśladowaniem komedyi 17go wieku. Co się tyczy tragedyi, była tylko zimném, bez duszy naśladowaniem tragedyi, jaką przedstawili nam trzéj wielcy mistrze, natchnieni starożytnemi pięknościami. Kornel, Rasyn i Wolter nic nie zostawili do czynienia. (?) Teatr przykrojony był podług cesarstwa i dyrektorstwa. Napoleon lubił starożytnych, niewolnicze naśladowanie rzymszczyzny i greczyzny stało się modą czasu; język napełnił się greckiemi wyrażeniami; domy, meble, opatrzone zostały starożytnemi ozdoby; malowano samych tylko Greków i Rzymian. Była to mania, która nakazywała artyście być kopistą. Lecz nakoniec sztuka, znużona tém niwolnictwem, usiłowała sprawić odmianę. Niebawem, jak to zwykle bywa, daleko zaszła; na chybił trafił wstąpiła na tropy nieznanych dróg, odprzysięgła się wszelkich szlachetnych i czystych form; hasłem jéj była *natura i prawda*, a to hasło zawsze niemal wpadało *w przesadę* luh *w kłamstwo*; jéj natura była czczą, a prawda odrażającą. Teatr z swéj strony często pokazywał się jeszcze mniéj rozsądnym niż malar-

stwo; dopuszczał się przesad, które szkodziły reformie, zamiast jéj pomagać. Nie tu jest miejsce popierać te twierdzenia dowodami; ale odwołuję się do czytelników, których pamięć jest wierną i o 15 lat w tył sięga.

Panna Mars chciała jak Talma, podać pomocną dłoń reformie; był to pomysł pochwały godny; lecz mojém zdaniem, powzięła go na swą szkodę. Nie dla tego, aby w niektórych dramach nie przedstawiła niejednéj piękności i nie dała dowodów wielkiego talentu; nie myślę zaprzeczać rzeczy, która jest oczywistą. Ale chociaż panna Mars była doskonalszą, niż którakolwiek inna artystka, jednak nie była tak wyborną jak w komedyi. Wysilała się przy tém, bez dodania czegokolwiek do swojéj sławy. W dramie, która płacze, rozpacza i krzywi się; w dramie, jaką po dziś dzień piszą, gdzie wydzierają sobie włosy, czołgają się na kolanach, i poniekąd zamiatają teatr rozpaczającą kobietą, panna Mars nie posiadała owéj dozy złego smaku, któréj koniecznie potrzeba dla zstąpienia do tak gwałtownéj rzeczywistości. Jéj głos, kiedy się wznosi dla wyrażenia namiętności, zawsze zostaje przyjemnym; jest to młoda dziewczyna, która się gniewa, ale nie kobieta która krzyczy; a dzisiejsza drama krzyku wymaga. Potrzeba mniéj geniuszu, jak wściekłości, aby grywać owe sztuki, co zaczynają się od wściekłości, a kończą na szaleństwie. Drama, która pannie Mars przystoi, jest *Edward w Szkocyi*, jest *Walerya*, jest to kilka scen w *Szkole Starców*, jest to *Henryk III*; lecz pomimo swój powab i przewagę swego talentu, nie przystoi jéj *Hernani*, a tém mniéj *Dzieci Edwarda*. Panna Mars jest uosobnionym smakiem (le gout personifié), jest ona wysoką, zręczną, dowcipną komedyą, która przypuszcza delikatność wdzięk

wymowy i zręczne przechody; wszystko na czém traci spokojność, stanowiąca jéj piękność, sprzeciwia się jéj naturze, zatém i jéj talentowi. Panna Mars nie może być *Niobą*: szczęściem na śmiéch jest skazaną.

Dawna komedya nie ma już innéj podpory, jak pannę Mars, tak jak Talma wspierał dawną tragedyą; gdyby pozostał przy życiu, byłby ją przeprowadził przez wszystkie zmiany sztuki. Panna Mars winną nam jest Moliera; niechaj dramę zostawi innym, a nam da komedyą.

Mam nadzieję, że zawód panny Mars nie jest jeszcze skończony, gdyż każdym razem, kiedy mam szczęście widzieć ją w komedyi, znajduję ją doskonalszą i piękniejszą; jest ona dla mnie taką, jak sztuki Molierowskie; ostatnią, którą widzę, uważam zawsze za najpiękniejszą.

Słyszymy co dzień zarzut, czyniony naszemu wiekowi, że nie umie cenić i opłacać wielkich talentów; gdy wypada nam mówić o pieniądzach, rozebrawszy wielkie zasługi, zobaczmy więc, czy ten zarzut naszym czasom uczyniony, jest pod względem panny Mars sprawiedliwy. Panna Mars nie należy już do socyeterów *Théâtre français*, i niema czego żałować tego tytułu, który posiadała niegdyś, kiedy miesięcznie 1800 do 2200 zł. wartował, albowiem nie przynosi teraz artyście ani pieniędzy, ani zaszczytu. Panna Mars jest pensyonarką, a płaca jéj wynosi 45,000 złp. Za te 45 tysięcy obowiązaną jest grywać trzy razy na tydzień. Jeżeli grywa częściéj, otrzymuje oddzielne wynagrodzenie. Co rok ma dwumiesięczny urlop, który przynajmniéj na 21 do 30,000 złp. cenić można. Niezawiśle od tych dochodów, które jak widzimy, około 70,000 złp. wynoszą, panna Mars pobiera stałą pensyą, stosowną do li-

czby lat jéj służby; ta pensya wynosi teraz przeszło 12,000 złp., co każe przypuszczać około 38 letnią służbę. Dokładny czas wstąpienia panny Mars nigdy urzędowo nie został potwierdzony. Rejestra teatru nie donoszą nam w tym względzie nic pewnego, a artystka, zapytana o to przez swoich kolegów, oświadczyła, iż nie przypomina sobie tego, i że komitet powinien za nią mieć pamięć, jeżeli idzie o rzecz pieniężną. Dodawszy pensyą do jéj płacy, do urlopu i do nadzwyczajnych wynagrodzeń, wielka ta artystka pobiera rocznie około 100,000 złp. Nie jest to bezwątpienia za dużo, ale téż nie można naszego wieku nazywać niewdzięcznym.

Panna Mars żyje na wielką stopę. Co dzień widuję przed memi oknami przejeżdżającą elegancką karetę, która ją wiezie z jéj pałacu „*w Nowych Atenach*" do teatru ulicy Richelieu. Towarzystwa panny Mars, jak powiadają, są bardzo przyjemne; bardzo łatwo można temu wierzyć, wiedząc, że ta kobieta, któréj rozsądek poszedł w przysłowie, widuje u siebie najznakomitszych artystów i literatów.

Niem wiem, czy mówiąc o majątku panny Mars, należy wspomnieć o pewnym zapisie, jaki przed kilku laty zostawił jéj starzec, który przez długi czas był milczącym wielbicielem jéj powabów i talentu. Mówiono także o interessach giełdowych; ale to są szczegóły, w które nie myślę się wdawać. Wyznaję tylko, że trudno mi jest przedstawić sobie Celimenę lub Sylwię, jak się żegna ze swemi wielbicielami, aby dać posłuchanie swemu kommissantowi; nie pojmuję, jak usta, które tak przepięknie wymawiają wyrazy:

„*Faut-il prendre un bâton pour les mettre dehors?*" mogą wymawiać barbarzyńskie słowa: *report, ultimo, premia i procent.*

Powinienem się może usprawiedliwić, że w pannie Mars, po artystce, widziałem kobiétę światową; lecz spodziewam się, żem nie był niedyskretnym; musiałem przecież coś powiedzieć o korzyściach, jakie ta artystka ze swego ciągnie powołania. Pałac, ekwipaż, pensya, są publiczne, jak talent, który je wydał, i wolno mi było wspomnieć o tém; reszta jest tajemnicą, i nie wyrzekłem ani słowa o tém. Gdybym miał mówić o pannie Lecouvreur, nie zamilczałbym wtedy, o Marszałku Saskim, ale panna Lecouvreur i bohatyr z pod Fontenoy należą do historyi. B. D.

POWOŁANIE ARTYSTY.

(z *Francuzkiego.*)

O pół mili od Laon, w małéj pięknéj wiosce zwanéj Monampteuil, około roku 1755 żyła wdowa wiekiem obarczona, imieniem Marta, która zaledwie wyżywić mogła ciężką pracą rąk swoich, dwoje dzieci; z tych starsze dochodziło lat 14, a młodsze zaczynało rok ósmy.

Marta, lubo z rodzona do lepszego stanu, nigdy jednak nie była szczęśliwą, biedna, opuszczona od wszystkich, była zmuszoną wéjść w służbę do tkacza, którego późniéj żoną została. Tkacz ten, imieniem Piotr, był gnuśnym, nie lubił pracować, i nieraz Marta z dziećmi swemi nie miała nawet czém głodu zaspokoić.

W tych to okropnych chwilach nędzy, Marta nie nie jadała, a jałmużnę ręką litosną podaną, dzieliła między Józefa i małego Ludwisia. Roku 1749, na początku zimy, Piotr umarł. Marta pomimo dozna-

nych bolesnych cierpień i nieszczęść, nie straciła odwagi; ugruntowana w religii, w niéj jedyną ulgę znajdowała, dla tego też w wiosce w któréj mieszkała, jedni nazywali ją pobożną; drudzy zaś widząc przechodzącą znędzniałą, z oczyma spuszczonemi, z różańcem u boku, wskazywali ją palcami mówiąc: Zmyślona świętoszka idzie odmawiać pacierze.

Na końcu wioski Monampteuil w starodawnym murze, była framuga, w głębi któréj stał posąg drewniany prostéj rzeźby, wyobrażający Boga rodzicę.

Posąg ten w mieszkańcach tamecznych wzbudzał szczególne poszanowanie. Bo jeżeli susza wypalała pola, grad niszczył zboża, zaraza bydło sprzątała, lub inne klęski wiosce groziły, wówczas wszyscy biegli do tego posąga, padali krzyżem wzywając łaski i miłosierdzia.

A gdy wszechmocnością Boga, te wszystkie nieszczęścia ustały, udawali się do tegoż posągu z wielką i pobożną uroczystością, złożyć modły dziękczynne Najświętszéj Pannie i Jéj Synowi.

Co do Marty, ta po śmierci Piotra codziennie tam przychodziła w towarzystwie Józefa i Ludwisia, wzywać łaski i opieki patronki Monampteuil.

„O święta Boga rodzico! mówiła, a dzieci to powtarzały, błagamy twéj łaski jedynie, aby synowie Piotra byli zawsze godnemi i uczciwemi ludźmi, szanującemi Boga, i święte przykazania kościoła.“

Jednakże los srogi ciągle uciskał rodzinę Marty. Nielitościwy wierzyciel, któremu się należało 40 talarów, kazał na zaspokojenie swego długu sprzedać ubogą chatkę, ostatnie schronienie wdowy po tkaczu. Wtenczas matka i dzieci już nie mieli innéj ucieczki prócz litości serc czułych.

Pleban téj wioski wzruszony tylu nieszczęściami, odwiedził Martę, i zastał ją siedzącą w pobliżu ulubionéj chatki, łzami zalaną.

„Moja dobra Marto, rzekł do niéj: nie jestem ja bogatszy od najuboższego z moich parafian, lecz znajdzie się jeszcze kącik w plebanii, gdzie będziesz mogła ukryć twą nędzę z dziećmi: pójdźcie, stół mój skromny, ubodzy których żywi są liczni, lecz miłosierdzie Boga jest nieograniczone, ono dostarczy wszystkiego."

Otóż są i w plebanii. Marta zobowiązała się trudnić ogrodnictwem, Ludwiś uczył się służyć do mszy, Józef zaś śpiewał na chórze.

To życie spokojne trwało prawie przez trzy miesiące, gdy jednéj niedzieli przybył do Monampteuil jeneralny Wikary przy katedrze w Laon. Józef, któremu Pleban udzielał początkowych wiadomości w muzyce, okazał do niéj wielką zdolność.

Glos Józefa, lubo bardzo daleki od wykształcenia, jednak wydał się jeneralnemu Wikaremu giętki, mocny i rozciągły.

W rzeczy saméj nigdy podobnego altu nie słyszano w ubogim kościołku w Monampteuil. Jeneralny Wikary bardzo był zadowolony, i przyrzekł nietylko opiekować się Józefem, ale nadto postanowił zaraz wziąść go z sobą do Laon; zapewniwszy, że tam w chórach, jeżeli będzie rozsądnym, i zechce się uczyć muzyki, może zarabiać od siedmiu do ośmiu franków miesięcznie.

Marta słysząc o tak pięknéj przyszłości swego syna, o mało nie umarła z radości. Czule podziękowała jeneralnemu Wikaremu, przyrzekając, że Józef zaraz jutro uda się do Laon, dla objęcia swojéj nowéj posady.

„W pierwszéj chwili Józef także był zachwycony, lecz wkrótce myśli o stanie duchownym i miłych jego zatrudnieniach dla czci Boga podjętych, ustąpi-

ły miejsca marzeniom przyszłości i sławy, któréj zapragnął.

Marta zaś zdawała się być szczęśliwą. Wszystkie bowiem jéj rozmowy tak były pełne pięknych nadziei, że wkrótce i Józef widząc radość czy to z przekonania własnego, czy z miłości synowskiéj, oddał się życzeniom matki.

Odtąd codziennie rano Józef udawał się do Laon pobierać lekcye śpiewu i być posłusznym rozkazom jeneralnego Wikarego, a w niedzielę śpiewał w kościele, przez co zjednał sobie zadowolenie wszystkich wiernych.

Wracał co wieczór do Monampteuil i z dobrą matką rozmawiał o swych nadziejach, i o zapewnieniu słodkiéj przyszłości bratu swemu Ludwisiowi.

W dzień Zielonych Swiątek 1756 roku, 9 godzina wieczór już wybiła na wiejskim zegarze, a Józef jeszcze nie powracał; wielka niespokojność powstała w plebanii!

Ludwiś płacze, Marta z natężonym słuchem i wzrokiem w jedno miejsce wlepionym, pyta o drogę do Laon; każdy odgłos w oddaleniu idących, a rozlegający się po bruku, zdawał się zapowiadać przybycie Józefa. Próżna nadzieja!... on nie powracał.

Już noc zapadła, a Józefa nie widać... Marta słucha tylko stęknionego serca matki, bierze swój płaszcz, chce wyjść; wtém stukanie do drzwi plebanii słyszyć się daje... to on, to Józef!... Wchodzi, oczy jego błyszczą radością i nadzieją, a na twarzy maluje się wyraz największego zapału.

„Zkądże to przychodzisz?“ zawołała Marta. — Matko nie łaj mnie: od kilku tygodni aktorowie przebywają w Laon, odpowie Józef; poznałem jednego z nich, który dzisiejszego wieczora wprowadził

mnie do teatru. — I ty na to zezwoliłeś? — Tak jest matko. Ci panowie potrzebowali mnie, nie chciałem odmówić. — Potrzebowali ciebie? komedyanci?.. Czyś ty rozum stracił!... — Nie moja matko. Przedstawiali wielką operę, a nie mając śpiewaków dla utworzenia dobrych chórów, przyszli do katedry prosząc mnie i moich współtowarzyszy, abyśmy ten brak zastąpili. — I ty byłeś w teatrze?... nieszczęśliwy! popełniłeś grzéch śmiertelny! Cóż powie na to pan Wikary? — Niech sobie pan Wikary mówi co mu się podoba, dla tego ja wolę teatr, niż wszystko: to jest zabawniejsze. — Jakto? Czyżbyś ty chciał... — Słuchajcież więc matko, daléj mówił Józef, obracając swą czapeczkę w ręku; zdaje się, że to jest dobre rzemiosło; zarabia się w niém wiele pieniędzy. — Rzemiosło trudne!... Wolałabym umrzeć sto razy, niż żyć ich chlebem.... nie powrócisz już więcéj do Laon.

Usta jéj zbladły, język zdrętwiał, i ledwie mogła głosem cichym wymówić: — *Myślisz może zostać komedyantem?* — Józef milczał. Lecz Marta myśl jego odgadła. Padła bezwładna na ławkę, i oboje już nie rzekłszy i słowa, zaczęli płakać.

W tym stanie rzeczy noc przeminęła. Ze wschodem słońca, Marta rzekła do syna: — Mój Józefie, czy nie pójdziesz do obrazu Boga rodzicy? — Pójdę z tobą matko. — Marta obudziła Ludwisia i wszystko troje udali się do świętego obrazu.

Gdy przybyli, Marta, osłabiona wzruszeniem i łzami w noc wylanemi, nie mogła zgiąć kolan; usiadła pod pobliskim dębem, Ludwiś ukląkł, złożył ręce, kiedy Józef, objąwszy swą dobrą matkę za szyję, stał cicho.

Po ukończonéj modliwie, Marta z pobożnością dodała błagalną prośbę, a Ludwiś za nią powtórzył:

„Nadewszystko spraw o święta Boga Rodzico; aby dziecko nie trwało w błędzie swoim!“... — Po tych modłach wszystko troje krokiem powolnym wrócili do plebanii. Józef już więcéj nie był w Laon, ale też nie śpiewał w kościele.

W dwa lata potém, stary pleban niebezpiecznie zachorował, i gdy go cierpienia na chwilę opuściły, rzekł do Marty: „Nie to mnie boli, Marto, że umierać muszę. Moje życie, acz długie, dobrze było użyte; Bóg może gdy chce, powołać swego sługę do siebie. Lecz ty, biedna kobieto, cóż się stanie z tobą? Mój następca wypędzi cię może.... Ach! gdyby Józef był rad naszych słuchał!... Bylibyście mieli do dziś dnia chléb zapewniony.... Ale on nie chciał!....“

Józef odwrócił wtedy głowę i zdawał się namyślać.

Jednego dnia wyszedł, nikt nie wiedział, w którą stronę zwrócił swe kroki. Boleść wpędziłaby do grobu nieszczęśliwą Martę, gdyby nie pamięć, że ma jeszcze jedno dziécię, dla którego winna dopełniać obowiązków matki, i że jéj syn Ludwik w tak słabym wieku, w niéj jednéj miał tylko podporę.

Smierć starego Plebana zadała duszy Marty cios okropny. Trzeba było opuścić plebanią. Marta i Ludwik podawszy sobie rękę mijali próg domu, gdzie tak dobroczynnie przyjęci zostali, gdy przyniesiono list, te słowa zawierający:

„Dobra matko; nie płacz dłużéj, bo cię nędza już nie dosięgnie. Gdym ci mówił, nie chciałaś mi wierzyć, a przecież sprawdziły się moje przeczucia, bo dochody moje polepszą byt twój dobra Matko. Będziesz mogła wykupić domek rodzicielski, i wychować Ludwisia. Bądź spokojną dobra matko, twoje życzenia są spełnione, bo syn tkacza zawsze jest i będzie uczciwym człowiekiem.“

Do listu dołączony był wexel na sto talarów. Marta odkupiła swą chatkę, Ludwiś oddany do seminaryum w Laon, w roku 1775 mianowany został plebanem w Monampteuil.

W królewskiéj Akademii muzycznéj od lat 10 celował talentem Józef Legros, który jako pierwszy artysta gorliwie pracując, dosięgnął szczytu sławy, spędziwszy długi ciąg życia w tym zawodzie ze świetném powodzeniem. W roku 1783 otrzymał zarząd instytutu koncertów, i dostojność tę piastował aż do chwili zniesienia tegoż zakładu w roku 1791. Umarł w Roszelli roku 1793. Był to utalentowany artysta i człowiek wzorowego postępowania; posiadał te dwie zalety, częściéj z sobą zjednoczone, niż powszechném jest mniemaniem.

KRONIKA TEATRÓW.

ZNACZNIEJSZE WYPADKI Z ROKU 1837.

(*Dokończenie.*)

Wrzesień. — Dnia 4go pan *Baraniecki Ferdynand* po powrocie z wód zagranicznych pierwszy raz występował w Komedyo-Operach: 50,000 *talarów* w roli *Eliasza* i w *Landarze* w roli Wójta. — Dnia 23 pan *Czapek Jan* artysta muzyczny z konserwatoryum pragskiego grał na fortepianie koncert pomiędzy aktami dramy *Upiór*. — Dnia 30 pani *Kesteloot* z domu Kainz, śpiewaczka teatrów w Medyolanie, Neapolu, Florencyi, śpiewała rozmaite arye pomiędzy aktami komedyi *Paulina*.

Październik. — Dnia 3 koncert wokalny pani *Kesteloot* z domu *Kainz*.—Dnia 11 trzeci wstęp panny *Radzyńskiej* w wznowionéj komedyi *Fraszka* w roli Amelii. — Dnia 14 pan *Pfeiffer*, antrepréner teatru krakowskiego, występował jako gość na scenie Wielkiego Teatru w komedyi *Śluby Panieńskie* w roli *Gustawa*. — Dnia 24 na żądanie koncert pani *Kesteloot* z domu *Kainz*.

Listopad. — Dnia 16 dawniéj panna *Helena Szlanzowska*, teraz zamężna pani *Grekowska* po raz ostatni występowała na scenie Wielkiego Teatru w balecie *Mleczarka Szwajcarska*, w roli *Lidy*. — Dnia 22 i 27 pierwszy i drugi koncert na skrzypcach pana *Arto*. — Dnia 30 pierwszy wstęp na scenę pana *Bogumiła Dawison*, ucznia szkoły dramatycznéj, w dramie *Dwaj więźnie z Galer*, w roli *Gustawa*.

Grudzień. — Dnia 4 i 9 trzeci i czwarty koncert na skrzypcach pana *Arto*. — Dnia 10 koncert panny *Robeny Laidlaw* i pana *Arto*, w sali redutowéj o godzinie 12 w południe. — Dnia 13 koncert panny *Laidlaw* pomiędzy sztukami na scenie teatru Rozmaitości. — Dnia 22 drugi wstęp pana *Bogumiła Dawison*, ucznia szkoły dramatycznéj, na scenie Teatru Rozmaitości, w komedyi *Mąż i Żona*, w roli Hrabiego *Alfreda*.

GAZETA TEATRALNA.

Jeden z dzienników pisze: „Teatr *Drurylane* w Londynie winien był w tych dniach obecności Królowéj jeden z największych dochodów, jakie miał kiedykolwiek. Pomimo, że ceny nie były podwyższone, weszło tego wieczora przeszło 900 funt szterl. (36,000 złp.) do kassy.“ To nie jest tak wiele; kto zna codzienne wydatki teatrów londyńskich, tego nie zadziwi dochód 20,000 złp. Etat aktorów niemałéj wymaga summy; za dobrą dramę płacą 80 do 100 funt. szt. (3200 do 4000 złp.) honorarium; jakie w Londynie muszą być dekoracye, łatwo odgadnąć; dochód 3000 talarów jest tam stosunkowo mniejszy, niż w Niemczech jednotysięczny.

— *Wojna służących* (le guerre des servantes) została już przedstawioną w Hamburgu, lecz z bardzo lichym skutkiem, tak dalece, iż pisma tameczne wynurzają nadzieję, iż ta *wojna* wkrótce im da *pokój*.

— Roku 1837 przedstawiono na wszystkich teatrach paryzkich 292 nowych sztuk. Najwięcéj tego roku przedstawił nowych dzieł teatr przy bramie S. Antoniego, bo 34. Dzieła, które największe miały powodzenie, są: *Koleżeństwo*, *Zamek mojej synowicy*, *Kaligula*, *Czarne domino*, *Piquillo*, *Tourlourou*, *Ojciec debitantki*, *Hrabina du Tonneau*, *Bruno*, *Zuzanka*, *Wojna Służących*, *Gaspardo*. — Autorów wszystkich

dzieł było 212 (roku 1836 było ich tylko 188.) Najpłodniejszym był P. Théaulon, gdyż napisał 13 sztuk; Scribe tym razem tylko 8 przysłużył się teatrowi.

— Uwielbiona śpiewaczka, pani Schröder Devrient znajduje się znowu w Berlinie, w celu dawania ról gościnnych. Tameczna opera szczyci się jeszcze prócz tego dwoma wielkiemi talentami, panien Fassmann i Löwe.

— P. Halm, autor trajedyi *Gryzelda* (która, przetłumaczona na język polski, była już we Lwowie przedstawianą), napisał nową trajedyą: *Himelda*, która w krótce w Wiedniu będzie graną.

— Z nowości podoba się w Paryżu w teatrze *du Vaudeville* komedyo-opera panów Dupeuty i Rochefort, p. t.: *La Folie-Beaujon*. Małe to dziełko jest pełne doweipu i wesołości. Z pomyślnym skutkiem przedstawiono też nową dramę w 5 aktach pana Foucher, p. t. *Guillaume Collmann, ou les deux guides*.

— Spiewaczka Miss Klara Novello wprawia teraz w zapał mieszkańców Lipska. Tameczny dziennik muzyczny pisze: „Od czasów pięknéj Henryetty nie słyszano jeszcze w Niemczech tyle łagodnego blasku, tyle lubości śpiewu. Dodać jeszcze dozę namiętności, a Miss Klara byłaby potęgą pierwszego rzędu w dziejach muzyki.“

GALERYA ARTYSTÓW.

Rozpoczynamy naszą galeryą udzieleniem dobrze trafionego wizerunku ś. p. *Wojciecha Piaseckiego*, zachowując sobie na późniéj udzielenie biograficznych o nim szczegółów.

Sprostowania.

1) W numerze drugim, na karcie 29, 2 wiersz od dołu, Ignacy Miłakowski wymieniony jest jako tłumacz komedyi *Dwie przeciw jednemu*, a sztuka ta bezimiennie nadesłaną została.

2) Na téjże stronnicy, 4 wiersz od dołu, tenże Ignacy Miłakowski podany jest jako tłumacz *Przesady i Natury*, a sztuka ta bezimiennie nadesłaną została.

3) Na stronnicy 30, w wierszu 18 od góry, JP. Damse wymieniony jest jako tłumacz melodramy *Marnotrawca;* rzeczywiście zaś nim jest Zygmunt Anczyc w Krakowie, i tylko muzykę dorabiał JP. Damse.